

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

**poleca bogaty wybór okryć damskich i kostymów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.**

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

9

Jawiła mu się myśl ucieczki... Ujrzał się już, jak siada do wagonu... Wszystkie te widzenia roz-
wiął odrazu jakiś lekki trzask z sąsiedniego po-
koju.

— Ktoś odkorkowuje butelkę w jadalnym po-
koju... — rzekł prezes. — Lecz kto to może być?
Sądziłem, że wszyscy już poszli spać... Oby tylko
nie podsłuchiwał kto naszej rozmowy.

Baronowa skierowała się do drzwi łączących oba
pokoje. Otworzyła je i krzyknęła przeraźliwie. Jakiś-
mężczyzna stał przy kredensie i nalewał sobie kie-
liszek koniaku. Zielonawa zarzutka, złoty garnitur
w czarne kraty, kapelusz o ekscentrycznym kształ-
cie i trzewiki o grubych podeszwach i szerokich no-
sach, nadawały mu wygląd Amerykanina, zwłaszcza,
iż twarz miał zupełnie wygoloną.

Popatrzył on uważnie na baronową i zabrał się
najspokojniej do picia. Na stole stała otwarta tor-
ba podróżna, wyłożona srebrnymi łyżkami i wid-
delcami.

Lucya de Lagunan cofnęła się i nie mogąc wy-
mówić ani słowa, wskazała drżącym palcem na nie-
znajomego. Duret, który wstał, postąpił dwa kroki
naprzód ku drzwiom, potem cofnął się o trzy w tył
i zawołał:

— Złodziej!

Prezes nie wychodził nigdy wieczorem bez re-
wolweru. Wyciągnął go z kieszeni i posunął się
naprzód.

— Poddaj się! — krzyknął.

Wszedł już do jadalnego pokoju, podczas gdy
baronowa pozostała na progu.

Człowiek ten wypił naprzód koniak, postawił kie-
liszek na stole i rzekł z niezadowoloną miną, zwrac-
ając się do pani de Logunan:

— Musiała pani koniecznie otworzyć te drzwi!
Nie mogła mnie pani pozostawić w spokoju? Czy
to ja pani przeszkadzałem, gdy dobierała się pani
do pudełka swej nauczycielki, by wsadzić tam kom-
promitujące listy?

Duret zdawał się zamieniać w posąg.

— A pan prezes niech schowa swój rewolwer,
bo ja wyjmę także brauning... — rzekł, wsuwając
rękę do kieszeni zielonawej zarzutki.

Przez kilka chwil panowało milczenie, przery-
wane oddechem Lucyi. Potem Duret opuścił broń,
którą trzymał ciągle wymierzoną w przybysza.

— Kto pan jesteś? — zapytał głuchym głosem.

— Ernest Panajon, pickpocket, włamywacz i chło-
roreformista.

— Poznaję pana... To pan usługiwał nam przed
dwoma tygodniami jako *extra*.

— Istotnie... Od czasu do czasu zmieniam ro-
dzaj swego zajęcia... W grudniu zeszłego roku by-
łem pułkownikiem... Spełniałem wtedy rolę szczeni-
ka hotelowego na przestrzeni między Cannes a Men-
toną... Od miesiąca jestem *extra* w domu „Lambert
i Durand“, dokąd dostałem się dzięki fałszywym
świadectwom... Co noc włamuję się do nowego mie-
szkania, zwłaszcza jeżeli udało mi się przedtem zba-
dać zamki od drzwi i szaf...

Duret i Lucya czuła mieli mokre, czuli zimny
pot na całym ciele. Zależeli teraz od łaski tego czło-
wieka, który dzięki wypadkowi posiadał ich tajemnicę.

— Zazwyczaj jednak — mówił dalej złodziej —
wizyty swe składam dopiero o drugiej godzinie
w nocy w pilśniowych pantoflach na nogach... Dzi-
siaj zjawiłem się nie o swej porze i w nieodpowie-
dnim stroju, liczyłem bowiem na względy pani
domu...

Ernest Panajon uśmiechał się teraz wesoło. Zaj-
rzał jeszcze do kredensu, by przekonać się, czy nie
zostało tam gdzie srebro, potem skierował się do
salonu, mówiąc:

— Na stoliku widziałem ładne drobiazgi... Pań-
stwo pozwoli?... Jest to emalia... Właśnie odbiorca
mój z Australii prosił mnie w swym ostatnim liście,
bym przysłał mu coś w rodzaju tego...

Ostąpienie Maksyma Dureta, zdawało się, iż zni-
kło zupełnie. Prezes ożywił się nagle, jakby mu za-
świeciła zbawcza myśl.

— Ma pan stosunki w Australii? — zapytał.

— Od dawna!

— I zna pan Australię?

— Australię? Jak własną kieszeń!

Ernest Panajon przerwał na chwilę swe czyn-
ności, nie wiedząc, do czego prezes zmierza swymi
pytaniami.

— I mówi pan po angielsku?

— Naturalnie... Władam również dość dobrze
niemieckim... i znam trochę turecki język... Mie-
szkałem w Berlinie i Konstantynopolu...

Odpowiedź tę dał w języku Szekspira. Duret,
który z powodu swych interesów musiał często jeź-
dzić do Anglii, również znał go dobrze. Przekonał
się, że Ernest Panajon mówi nim lepiej od niego.

— Akcent pan ma, jaki słyszeć się daje tylko
w lepszym towarzystwie — rzekł.

— W innym też nie bywam.

— To dobrze.

Istotnie, złodziej nie mógł obracać się gdziein-
dzie, jak tylko między ludźmi z dobrze wypchany-
mi portfelami.

Maksym Duret z wolna odzyskiwał swą pewność.
Omdlewająca baronowa spoglądała na swego
wuję ze zdziwieniem, które podzielał także i Ernest
Panajon.

— Gawędzę jednak, a praca się nie posuwa... —
rzekł złodziej. — Proszę mi wybaczyć...

I przeszedł do salonu.

— Niech pan zostawi te emalie i resztę rze-
czy — rzekł spokojnie prezes. Nie otrzyma pan za
to nawet stu luidorów... A może ich pan zyskać
dwa tysiące...

Ernest Panajon obrócił się zdumiony.

— Zyskać dwa tysiące luidorów? W jaki spo-
sób? — zapytał.

— Używając świata pod nazwiskiem Karola Tur-
nera.

VII.

Podczas gdy u baronowej de Lagunan odbywała
się ta dziwna scena, Ludwika Dubois szła w swej
izdebce na poddaszu przy ulicy Langier. Młoda pan-
na czekała na Ewę. W pralni była pilna robota.
Piękna prasowaczka musiała kończyć spiesznie wy-
znaczoną sobie pracę. A przyjaciółka oznajmiła jej,
że nie położy się spać przed nią. Wybiło już w pół
do dwunastej, gdy wreszcie ukazała się Ewa.

— Dobra wiadomość! — zawołała wchodząc. —
Marya już nie przyjdzie!

— Ta ruda, którą mi pokazywałaś poprzedniego
dnia? — zapytała Ludwika.

— Tak... Wściekła była, że musiała pozostać
tak długo... Straszna scena rozegrała się między
nią a pryncypałową... Ach! gdybyś ty to była sły-
szała!

— Wolę raczej tego nie słyszeć!

— Panią ma delikatne uszy?... Puchną od słu-
chania brzydkich słów!... Wystarczy jeden tydzień
u matki Lambert, by się przyzwyczaić do tego...
Polecam ci zwłaszcza Julię... tę wielką, chudą...

— Wiem już...

— Zakasuje ona w grubiaństwie wszystkie prze-
kupki z całego świata!... Wracajmy jednak do rze-
czy!... Otworzyło się przez to w pralni jedno wolne

miejsce... Jeżeli naprawdę chcesz się wziąć do tego,
to teraz nadeszła najlepsza chwila...

Od kilku już dni Ewa dawała Ludwice lekcje
prasowania.

Nauczycielka opowiedziała pięknej prasowaczce
swe przygody. Ewa wiedziała już, że młoda panna
została oskarżona niesłusznie o złe prowadzenie się
i wskutek tego utraciła miejsce i została opuszczona
przez Piotra Cartelegue'a. Na czym w gruncie rze-
czy miało polegać to złe prowadzenie się, tego nie
wiedziała, gdyż Ludwika nie wtajemniczyła jej
w szczegóły. Biedna nauczycielka nie śmiała rzeczy-
wiście wyznawać odkrycia u niej listów, podpisywa-
nych przez Karola Turnera. Wydawało jej się to
zbyt obciążającym na razie dowodem. Gdyby o tem
wiedzieli, wzruszani tylko niedbale ramionami
na wszelkie jej przysięgi o własnej niewinności.

Ewa była dyskretna i nie bardzo dopytywała
się o fakty. Wystarczyło jej krótkie opowiadanie
przyjaciółki, by mogła oburzać się na niegodziwość
ludzi i wylewać łzy współczucia.

Dała jej przytem następującą radę:

— Od chwili, moja droga, gdy nie chcesz nic
słyszeć o swej baronowej ani o osobach, które u niej
poznasz, trudno ci będzie bez świadectw i bez re-
komendacyi znaleźć nowe uczenie... Nie pozostaje
ci nic innego, jak zarabiać na życie własnymi dzie-
sięcioma palcami... Chcesz, bym cię nauczyła pra-
wania?...

I rzeczywiście wyuczyła ją tego.

— Mówiłaś pani Lambert, że jej przyprowadzisz
nową prasowaczkę? — zapytała Ludwika.

— Mówiłam... Z góry już jesteś przyjęta... Li-
czy na ciebie...

— Boję się.

— Czego?

— Wszystkiego

— Smarkata!

— Nie jestem jeszcze wprawna... A przytem...
Zawahała się.

— A przytem — powtórzyła Ewa — lękaś
się, by się z ciebie nie śmiano? Uważasz, że nie
wyglądasz jeszcze na robotnicę? Prawda, to cię że-
nuje? Przyznaj się! Przedewszystkiem, moja księż-
niczko, nie wszystkie mają miny takie, jak gdyby przez
całe życie pilnowały gęsi w polu... I ja, chociaż nie
przyjmowano mnie jeszcze na dworze cesarza chiń-
skiego, umiem się znaleźć w potrzebie... Zresztą,
gdyby ci kto dokuczał, to możesz być spokojna, nie
będziesz potrzebowała się kłócić... Ja dam sobie rady
za dwie!

— Ja naprawdę jestem bardzo z tego zadowo-
lona — rzekła Ludwika. — Będę ci wreszcie mogła
oddać...

Ewa przerwała jej zaraz.

— Cóż to? Czyś ty mi winna cośkolwiek?

— Och! prawie wszystko... Naprzód życie, po-
tem odwagę do znoszenia wszystkiego i wreszcie
zajęcie... Z tego jednak nie wypłacę się nigdy... Ale,
moja droga, już tydzień, jak mnie karmisz i...

Piękna prasowaczka znowu nie pozwoliła jej
skończyć:

— Cicho!

— Powiedziałaś mi to już wówczas, gdyś mi
przyniosła bulionu i uratowała od głodowej śmierci...
Musiałam milczeć i wieczorem, gdyś mi podała
obiad...

Ewa nie chciała wcale słuchać. Skierowała się
do drzwi.

— No, dobrze! Milczę już znowu! — zawołała
Ludwika.

— W sam czas! — odrzekła prasowaczka. —
A więc, moje dziecko, z tem już skończone? Idziesz
do matki Lambert... Stałaś się robotnicą... i na
długo, niestety! ponieważ jesteś rozsądna, jak święta
osoba na obrazie...

— A ty? Nie jesteś tak rozsądna, jak święta
na obrazie?